

## Państwo Sosnowscy.

Od szeregu lat są dzielną podporą i chlubą sceny krakowskiej. Ona znakomita wykonawczyni



Władysława Ordon-Sosnowska

ról lirycznych, on niezrównany w rolach bohater-skich, a wielce zasłużony jako reżyser. Oboje też cieszą się równorzędnym a jednogłośnie uznaniem krytyki i ogromną sympatią wśród publiczności krakowskiej i wśród kolegów.

Na scenę krakowską przybyli równocześnie, zaangażowani z teatru lwowskiego, już jako siły pierwszorzędne, z wyrobioną opinią i bogatym repertuarem. I jedno i drugie zdobyli w czasie ciężkiej, pełnej cierni pracy w trupach prowincjonalnych, pracy, do której sił dodawało im tylko szczerze i głębokie umiłowanie sztuki.

Pani Władysława Ordon-Sosnowska łączy na scenie wielką szczerą i wdzięk wrodzony z dużą inteligencją i znajomością środków techniki aktorskiej. Ujmująca powierzchowność, ruchy wytworne, głos miły i dźwięczny, dopełniają całości doskonałych warunków. Jestto indywidualność artystyczna niepospolita, wybijająca się świetnymi swymi kreacjami na pierwszy plan zespołu. Kreacji tych ma dziś p. Ordon-Sosnowska w swym repertuarze bardzo wiele, tak że niepodobna było nawet najwybitniejszych wymienić. Wszystkie są skończone, wyborne, czy gra damę salonową, czy prostą dziewczkę. Bo talent jej jest iskrą Bożą.

Pierwszorzędne stanowisko w szeregu polskich artystów dramatycznych zajmuje także pan Józef Sosnowski. Artysta całą duszą, obdarzony wielką intuicją, a przytem głębokiem wykształceniem i znajomością literatury. Kreacje jego, zwłaszcza w zakresie bohaterskim, mają wiele siły i akcentów istotnie dramatycznych, trzymane są jednak zawsze w tonie pełnym miary prawdziwie artystycznej i wolne od wszelkiej szarży. Postawa

wspaniała, a organ głosu potężny i podatny, dają mu nadzwyczajne warunki zewnętrzne. Jako reżyser ogromnie inteligentny, pomysłowy i pracowity, uczestniczy w tej dobrej sławie, jaką cieszy się dziś scena krakowska.



Józef Sosnowski.

## Z lwowskiego bruku.

(Kociokwik karnawałowo-wyborczy. — Koniec, który się urwał. — Nasze ostatki, czyli sceny z Riwiery. — Popsuta zabawa pana barona. — Śmierć na posterunku i zmartwychwstanie. — Skombinowane przekonania. — Wesoły kandydat. — Hyeny się obliżają. — Nareszcie! — Ogólny kacenjamer i popielec.)

Ogólny „kacenjamer...” Po zabawie. Po karnawale. Po wyborach. Stolica leży w łóżku, przykład zimne okłady na głowę i jęczy... Niebo w dodatku rozpląkało się cienkimi strugami łez, rozpacz, błoto, wilgoć i melancholia.

Hm! A hulało się panie dobrodzieju, hulało. Jakże to było? Gdyby nie ta głowa... Stolica ma się po niej z niedowierzaniem. Głowa jest! To już dobrze... W takich niebezpiecznych czasach... A więc, jakże to było? Te ostatki...

Lwów dawno już nie miał takich „weneckich” zapustów. Jak pisałem, zeszyły mu się nieszczęśliwie oba końce: karnawał i okresu wyborczego. Ten drugi jednak był silniejszy i przetrzymał konkurenta. Już, już myśleliśmy, że we wtorek będziemy mogli się oddać całą duszą „ostatkom”, zalewać lub oblewać zwycięstwa wyborcze i godnie pożegnać karnawał, gdy popsuta nam humor komisja wyborcza, wzywając naród lwowski jeszcze raz do zabawy w środę. Tak więc koniec, któryśmy chwytały już w poniedziałek, znów nam uciekł do kłębka, ku większemu zadowoleniu handlików, przedsiębiorstw redutowych i hyen wyborczych.

Lwów też wyglądał w dniu wyborów jak jakieś włoskie miasto w karnawale. Włoskość tę podtrzymywał specjalnie nasz honorowy włoski konsul p. baron Battaglia ze swoim oryginalnym orszakiem przybranych w skórę hyen wyborczych zauszników. Pan baron w myśl swego wojowniczego nazwiska stoczył walną batalię z robotnikami, którzy chcieli mu przeszkodzić w zabawie kupowania kart legitymacyjnych. Także dzika pretensja! Każdy ma prawo się bawić, jak mu się podoba, zwłaszcza za drogie pieniądze. Był to najoczywistszy zamach na cudzą własność — skąd bowiem socjaliści przychodzą do wydzierania seitek kart legitymacyjnych, nabytych za cudze pieniądze? Czystość wyborów?... Jakżeby w takim wypadku mógł pan baron zostać posłem? Włoskość poniedziałku podtrzymał pan baron i w dalszym ciągu. Ze swej makaronowej ojczyzny przyniósł bowiem rewolwer i komedyanctwo. Wypukawszy więc parę razy z rewolweru do powały (zawsze to panie tego bezpieczniej w ścianę... a nuż? sądy itd.), zalany krwią, bez przytomności, z rozłupaną czaszką, chwiejąc się na nogach pobiegł do ratusza pokazywać się w salach... i omdlał, gdzie był największy napływ wyborców i najsłabsze szanse wszechpolskiej listy. Ostatnie słowa umierającego były: „zamówcie telefonicznie paski w drukarni”. I zamknął oczy. Zmartwychwstał jednak, gdy się wieczorem dowiedział, że ma prze-

szło 1000 głosów. O żyje u nas jeszcze prawdziwa myśl narodowa.

W salach, małych gabinetach magistrackich odbywały się prawdziwie zapustne sceny. Wyborcy, jak popielcowe śledzie w beczkach, duszeni z tyłu natłokiem głosujących, a z przodu... wpływem panów komisarzy, grubych ryb, a nawet kandydatów, pletli czasem jak na mękach. Wychodziły z tej podwójnej prasy najrozmaitsze wesołe kombinacje — wyborca we środku „porządny chłop” dawał i dyabłu świeczkę, głosując np. tak: „Ciuchciński, Rydygier, Hudec, Głabiński”, albo „Dulebianka, Battaglia, Wasung” i trzy miejsca próżne. Sam pan poseł Głabiński na pierwszym miejscu siebie wymienił, tłumacząc się, gdy na sali powstał śmiech, że musi przecie głosować na prezesa Koła polskiego.

Wesołym, zapustnym kandydatem był pan Wasung. Gdy poczuł „pismo nosem”, mianowicie że pisma dobierają się do gruntu kandydatów — cofnął pospiesznie swoją kandydaturę. Dopiero w sobotę i niedzielę, gdy już prawie żaden dziennik nie wychodzi, puścił gwałtowną reklamę na konto swojej osoby. Afisze na murach, na tramwajach, na krzakach, na chodniku, na łopatach, kartki kolportowane po wszystkich kawiarniach i restauracjach — w dniu zaś wyborów kolosalne płachty w rynku, jak bramy tryumfalne, witające spieszących do urny wyborców. Pan Wasung otrzymał 400 głosów — i to dobra reklama dla jego kancelarii adwokackiej. Tylko wesoło!

O procedurze technicznym wyborów trudno pisać. „Panowie komisja” traktowali nas jako kawałki w namiestnictwie: powoli, to się wszystko załatwi. W jednej sali system odbierania głosów zmieniano kilkanaście razy, pan przewodniczący co chwila miał genialny jakiś wynalazek. Skutek był ten, że głosowano do godziny 1-szej w nocy, skrutynium zaś ukończono o 6 tej rano.

W środę mieliśmy skrócone wydanie poniedziałku. Z powodu deszczu i końca karnawału, który zapędził „porządniejszych” wyborców do łóżka — głosowały przeważnie narodowe hyeny, które bardzo sobie chwalały obecny tydzień.

A więc... Już! Stolica odetchnęła... Spadł jej straszny ciężar z serca: sześciu synów będzie teraz z nią myślało w pałacu koło ogrodu jezickiego. Odpoczywa z kociokwikiem. A mają go wszyscy: narodowi demokraci, którzy myśleli szturmem zdobyć wszystko dla siebie — p. Dulebianka, której 500 głosów unieważniono — kandydaci „na własną rękę”, którzy drogo zapłacili za tę zabawę — no i postępową koalicję też się bez niego nie obeszła.

O naiwni! Chcieli walczyć z narodową demokracją na zgromadzeniach, w prasie i w opinii... To za mało. Bo panowie wszechpolacy postarali się tylko... o walizkę legitymacji. Ta rozstrzyga.

Jerzy Gips.

## Sumiennosc.

Czystość serca i uczciwość,  
To zaiste rzecz najlepsza,  
Dam wam tutaj przykład mały:  
Pewien cygan ukradł wieprza.

„Wieprz - stworzonko bardzo miłe,  
„Rzecz to jest ogólnie znana,  
„A słoninka rzecz wyborna  
„I nie tylko dla cygana!”

Tak to Lajos rozumował,  
Kiedy przez wieś szedł rozdrożem,  
Aż dopadłszy do chlewika,  
Pchnął młodego wieprza nożem.

Kontent, że go nikt nie widział,  
(Tak przynajmniej mu się zdało)  
Z okazałym swoim łupem,  
Do chałupy wraca śmiało.

Gdy wytopił sadło właśnie,  
Delektując się zapachem,  
Sąsiad dobry — Istwan stary,  
Zjawia się pod jego dachem.

Lajos, choć się zmieszał nieco,  
Ale w uśmiech skrzywił usta —  
I rzekł do Istwana tylko:  
„A co! jaka świnka tłusta!?”

„Tak! tak! znam ją osobiście.”  
Dobry Istwan odpowiada.  
„Tak, biedaczka żyła w chlewie  
„Do niedawna, u sąsiada.”

„Co?” — zawołał Lajos z gniewem.  
„Śmiesz zarzucić mi ohyde?”  
„Skradłeś świnię” — krzyknie Istwan.  
„Zaraz z tem do wójta idę...!”

„Zresztą powiem ci — ktoś trzeci,  
„W nocy śledził cię ukradkiem,  
„On już zrobił doniesienie,  
„A ja będę tylko — świadkiem!...”

„Przyjacielu!” rzecze Lajos.

„Już zapłacę wódkę, piwo,  
„Ale zlituj się nademną  
„I przysięgnij w sądzie — krzywo!”

„Dam ci za to trzy talary,  
„Trzy (wiesz jakie ciężkie czasy!)  
„A w dodatku z tego wieprza,  
„Dam ci jeszcze trzy kiełbasy!”

„Abyś poznał moje serce”  
Istwan na to odpowiada.

„To już wezmę trzy talary,  
„Jako sąsiad od sąsiada.

„I przysięgnę w sądzie krzywo,  
„Byś miał szczęście na początek,  
„Lecz kiełbasy ani nie tknę,  
„Bo to grzech!... Wszak dzisiaj piątek!...”

Kruk.